



MICHAŁ GOLDBERG

Kanonier Michał Goldberg, 30 lat, żonaty, kierownik laboratorium filmowego w Warszawie.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców znalazłem się wraz z żoną w Baranowiczach okupowanych przez Rosjan, gdzie pracowałem jako artysta malarz. Po bardzo ciężkiej zimie na wiosnę 1940 r. Rosjanie przeprowadzili paszportyzację, z tym że Polaków, którzy nie chcieli zostać obywatelami sowieckimi, rzekomo mieli odesłać do okupowanej przez Niemców Polski. Naturalnie paszportu nie wziąłem i do Niemców nie pojechałem, gdyż ci ostatni nie chcieli nas wpuścić. A ponieważ (jak nam się wtedy zdawało) Rosjanie nie wiedzieli, co z nami zrobić, mieliśmy kilka spokojnych tygodni.

Aż pewnej nocy zapukała do nas milicja NKWD. Dostaliśmy 15 minut na spakowanie się i oznajmili nam, że zostaniemy wywiezieni w głąb Rosji. Samochodem ciężarowym przewieziono nas do pociągu towarowego. Do wagonu przeznaczonego do przewożenia zwierząt wtłoczyli 40 osób wraz z bagażami. Wszyscy jednocześnie siedzieć nie mogli, gdyż na to za mało było miejsca. Ubikacji nie było, wagon zamknięty, a konwojenci nawet na postojach nie wypuszczali nas z wagonu. Przez to zmuszeni byliśmy załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne w bardzo przykry sposób. Do tego brak wody do mycia. Stworzyło to nam warunki, w których normalny, kulturalny człowiek nie jest w stanie wytrzymać. Z wyżywieniem nie było tak źle, gdyż ludność Baranowicz przyniosła nam na dworzec duże zapasy prowiantów. Rosjanie natomiast dawali nam kilogram chleba, troszkę cukru i kilka dekagramów kiełbasy dziennie. Po dwóch tygodniach takiej podróży przyjechaliśmy do stacji Tawda nad rzeką tej samej nazwy (dopływ Obu), gdzie nas przeładowali na barże i powieźli dalej wodą na północ. Na barży mieliśmy takie warunki, że podróż koleją wydała się nam szczytem luksusu. Dodać należy, że przez cztery doby dali nam tylko raz po kawałku suchej ryby, a nasze zapasy już się wyczerpały. Po czterech dniach wysadzili nas na brzeg rzeki, skąd

powędrowaliśmy w głąb lasów. Przez bagnisty las wśród strasznych komarów przypędzili nas na miejsce przeznaczenia.

Koło małego jeziora na polanie wśród lasu stał stary, zniszczony posesiad. Nazywał się Kureniewo [?], leżał w swierdłowskiej *obłasti*, tabaryńskim rejonie, *sielsowiet* Owieryno [Owdierino]. Był to rodzaj wsi, gdzie małe jednakowe domki stały szeregiem, tworząc ulicę. Domków takich było 80, z czego cztery duże – szkoła, kantor, łaźnia i piekarnia. Rozlokowali nas po dziesięć osób w domku, bez dachów, pieców i szyb. Dali nam topory i przez trzy dni mieliśmy się „urządzić”.

Zesłańcami byli Polacy, przeważnie z okolic Warszawy i Łodzi, 50 proc. Żydzi. Element o tyle dobry, że nie dawał się złamać na duchu. Śmialiśmy się z NKWD-zistów, którzy ciągle nam mówili, że nigdy do Polski nie wrócimy, żeby nie myśleć o kraju, urządzić się tutaj (dali nam po kawałku ziemi pod kartofle).

Pracowaliśmy na roli, w cegielni, przy sianokosach, przy zdzieraniu łyka z drzew do wyrobu łapci i w lesie. Wszędzie pracowały także kobiety. Płaca była marna, normy wysokie. Za normę dla nas nieosiągalną płacili pięć rubli. Przeciętny zarobek nasz wynosił jeden–dwa ruble, a na sianokosach i spławie, gdzie robota była najcięższa, zarabialiśmy po 15–20 kopiejek. Na osobę mieliśmy prawo kupić kilogram chleba i trzy kilogramy kaszy miesięcznie. Gotowaliśmy sami. W zimie pracowaliśmy tylko w lesie. Kobiety paliły gałęzie, mężczyźni walili i wywozili drzewo. Na *zbornym* placu, skąd wyruszaliśmy do lasu, musieliśmy być przed godz. 6.00. W razie spóźnienia *progoł*, sąd i bezwzględne więzienie, do którego wywozili. Za mniejsze przewinienie pakowali zesłańca do izolatora. Koniec pracy o 17.00.

Na zebrania, wspólne modlitwy – nie pozwalali. Lekarz (felczer) uznawał chorobę i zwalniał od pracy tylko w porozumieniu z naczelnikiem. Jeśli naczelnik chciał, chory musiał iść do lasu. Niepracujący i dzieci dostawali tylko po pół kilograma chleba. Przepisowo do 36 stopni mrozu mieliśmy wychodzić do pracy. Lecz termometr był tak skonstruowany, że niżej 35 stopni nie wskazywał, podczas gdy w okolicznych wsiach było 40. Z odzieży dali nam kufajki, watowane spodnie, futrzane czapki i watowane buty z łapciami. Za to odliczyli nam pieniądze przy wypłacie.

Do wojny rosyjsko-niemieckiej korespondowałem z Warszawą i Baranowiczami. Z Baranowicz otrzymywałem paczki żywnościowe.

Na jesieni 1941 r. dowiedzieliśmy się o układzie polsko-rosyjskim i w parę dni później przyjechał do nas komisarz NKWD, rozdał nam *udostowierienija* i rozwiązał posiołek. Wyjechać musieliśmy na koszt własny. Po sześciotygodniowej bardzo ciężkiej podróży pociągami osobowymi i *ciepłuszkami* dostaliśmy się na południe, gdzie organizowała się polska armia. Na stacji Kagan dowiedziałem się od Polaków jadących w przeciwnym kierunku, że pociągi te kierują do jakiejś rzeki, gdzie już pod przymusem wywożą znów barżami na przymusowe roboty. Uciekłem z żoną z pociągu i udałem się do Buchary, gdzie zapisałem się w delegaturze na komisję wojskową.

Po wielokrotnym zapisywaniu się na różne polsko-rosyjskie komisje, dostałem pod koniec skierowanie do armii do G'uzor, gdzie 8 marca 1942 r. zostałem wcielony do Wojska Polskiego.

Miejsce postoju, 28 lutego 1943 r.